Lwów, 16. Grudnia. Nr 150. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wierszu pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za nastep. po 1½ kr. i za dopłatę 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*.

BEZDZIETNY.

OBRAZEK W MAŁYCH RAMKACH.

Gubią listek po listku—aż w późnej jesieni
Jak stare mszyste dęby stoją obnażeni
Malczewski.

Jeżeli czytelniku byłeś kiedy w Lublinie, znać musisz kościół św. Ducha.

Prosty, skromny, nie odznaczają go ani wyniosłe wieże, ani wspaniałe portyki, wewnątrz nie ujrzysz śmiało rzuconych sklepień, pysznych malowideł, złoceń, marmurów, a jednakże czegoś tak serca pociąga ku sobie,tak w nim miło oderwać duszę od ziemi i unieść ją wysoko nad sklepieuia i wieże wszystkich świątyń na świecie, że niema w Lublinie i jednego z mieszkańców, rozumie się z takich co w złocie i marmurach świętości nie widzą, ktoby nie kochał św. Ducha kościoła, i jak godzina 10ta uderzy, nie spieszył w jego progi wysłuchać granej wotywy.

A trzeba wiedzieć dla czego dodałem granej. Codzień o tej godzinie z niewielkiego chóru, czarują serca słuchaczy, cudne tony, wydobyte z organu ręką niewidomego starca, — codzień z piersi jego płynie pieśń rzewna, drżąca wzruszeniem i świętością, przed którą powinnyby paść na kolana wszystkie oratoria, wszystkie chóry i kwartety, z któremi się ludzie tak często popisują.

Słyszałem później wykonywane na organach dzieła nieśmiertelnych Haydenow, Mendelsonów, Mozartów, podziwiałem czystość i wyrobienie rozmaitych tenorów i sopranów, ale Bóg widzi że nie doznałem ani najdrobniejszej cząsteczki tego wzruszenia, tego świętego uczucia, które ogarniały moje serce przy każdem usłyszeniu prostych, podanych natchnieniem tonów, przy każdej z duszy płynącej pieśni niewidomego organisty św. Duchskiego kościoła, uwielbianego powszechnie starca, Sobieszczańskiego.

Bo do muzyki, a szczególniej religijnej nie wystarcza biegłość; nie wzruszą nikogo najtrudniejsze przejścia, najbogatsze zasoby głosu, jeżeli mistrz lub piewca nie wcieli w nie cząstki własnej duszy, nie rozrzuci między słuchaczy ognia, którym serce jego goreje. Podziwienie, pochwały mogą być dla niego nagrodą, ale od nich jakże daleko jeszcze do celu?!

Otóż w tym kościele, w ławeczce na boku, niedaleko ambony siadywał często starzec blisko siedmdziesięcioletni, siwy, zgarbiony, z twarzą pooraną zmarszczkami, z oczyma zaszłemi mgłą, zapadniętemi głęboko, z rękami trzęsącemi się mocno, w jednakiem zawsze, czarnem, długiem odzieniu, z grubą książką pod pachą.

Widywałem go bardzo często, przypatrywałem mu się nieraz, modlił się zawsze bardzo gorąco i tylko gdy czulsze i smętniejsze jak zwykle tony odzywały się z chóru, wznosił oczy w górę jakby wzrokiem chciał przebić sklepienia, a duszą ulecieć w niebo. Po mszy św., odmówiwszy zawsze ewangelią św. Jana i ucałowawszy stopnie ołtarza, wychodził z kościoła i przez św. Ducha bramę szedł ku Karmelitom, a potem wąskiemi uliczkami ku Czwartkowi.

Chłopcy z zakrystyi, przekupki ze św. Duchskiej bramy znali go dobrze, bo on nieraz z chłopcami pogada, pogłaskał nie jednego a czasem i dziesiątkę na jagody w rękę wsunął, przekupkom zaś zawsze powiedział szczęść Boże, gdy rano rozstawiały stragany, i do której najpierwej przemówił, to przez cały dzień wiodło się jej najlepiej, i rady dać sobie nie mogła z kupującemi. Ubiegały się więc jedna przed drugą żeby starego jegomości ukłonem powitać i dobre słowo pozyskać.

Kiedym raz zapytał chłopca niosącego kropidło i wodę święconą do zakrystyi, jak się ten starzec nazywa, wpatrzył się we mnie z zadziwieniem i odrzekł:

— A cóż to pan nie wie? Bezdzietny.

— Ale prawdziwe jego nazwisko?

— Bezdzietny!

— Przecież on się tak nie może nazywać!

— Ej co z panem gadać, kiedy pan nie wierzy — rzekł ruszywszy ramionami i poszedł w swoją drogę.

Zaszedłem do przekupek i kupiwszy u jednej cały tuzin rogalków, zapytałem czy nie wie jak się ten starzec nazywa i gdzie mieszka?

— Proszę pana, to trudno wiedzieć, — odrzekła układając rozrzucone rogalki — jego tu zowią bezdzietny, ale on się musi tak nie nazywać, tylko ludzie tak go przezwali, bo on ponoś dawniej nie w takiej był kondycyi, tylko jak mu dzieci wymarły, porzucił wszystko i osiadł w naszym Lublinie, ale gdzie? to Bóg go święty raczy wiedzieć; podobnoś na Czwartku czy na Kalinowszczyźnie.

Gdybym mieszkał stale w Lublinie, pewnobym się dowiedział wszystkich szczegółów, bo już to we dwóch przymiotach mógłbym walczyć o prym: w ciekawości z kobie-

tami, a w uporze z dziećmi; ale że ja tylko przygodnym gościem byłem w Lublinie, i że obarczano mnie zawsze tyloma interesami, iż zaledwie miałem czas rano wstawszy przeżegnać się, musiałem rad nie rad ciekawość moją do późniejszego czasu odłożyć.

Ale na próżno ksiądz Baka powiedział:

Czas ucieka,
Śmierć goni,
Wieczność czeka.

Odkładamy wiele rzeczy na jutro, jakbyśmy mogli tej nątrętnicy śmierci powiedzieć: idź precz — ja jeszcze to a to mam do zrobienia — ja jeszcze mam się pożegnać z kochanką — ja jeszcze mam podchować dzieci — zebrać kartofle z pola — dokończyć zaczętą powieść. Oj dali-bóg jakby to dobrze było?! Człowiek mógłby zawsze znaleźć jaki wykręt, a śmierć by stała zawsze pod progiem, dzwoniąc zębami na mrozie, albo piekąc suche gnaty na słońcu. Nie jeden mąż mógłby powiedzieć: poczekaj kochaneczko aż moja żona przestanie zrzędzić, i pewnie dożył by lat Matuzalowych; nie jedna dziewczynka zaklęłaby ją na wszystko najświętsze, aby czekała dopóki nie znajdzie takiego kochanka, któremu by wierną być mogła, i oszukana śmierć musiałaby chyba na jej wierność do dnia sądnego czekać. Dzierżawca prosił by ją o powolność aż się z długów wypłaci dziedzicowi, stary kawaler aż się przestanie umizgać i t. d.

Ale dajmy pokój tym marzeniom o *niebieskich migdałach*, życia ani na jednę chwilkę za połę nie przytrzymamy, przed śmiercią nawet żaden deputat sławnego niegdyś trybunału lubelskiego wykrętu nie znalazł.

W słotny jesienny dzień wjeżdżałem do Lublina, konie wlokły powoli bryczkę po sławnej z błota Kalinowszczyznie, furman namawiał mnie abym zajechał do Schnirsteina, bo tam i wygoda dobra i stajnia osobna i niedaleko do Jagusi, która doskonale piwo szynkuje. Ja nie myślałem ani o Schnirsteinie, ani o wygodzie, ani o Jagusi, patrzyłem na błoto, więc myślałem o błocie. — Koło w które mój wzrok utkwiłem, a które w chwili to brnęło w błocie, to znów nad niem górowało, wydało mi się nie jednym z ludzi, w jednej i tej samej chwili otrząsających się ze światowego błota i znów brnących w niem po uszy. — Myślałem... o bo niech wam się nie zdaje czytelnicy że niema co myśleć patrząc na błoto. W różnych sytuacyach ludzkiego życia, widziałem błoto, i na palisandrach i na prostym dębowym zydlu, na koronkach i na łachmanach, na paliowych rękawiczkach modnisia i na brudnej skórze wyrobnika, a za temi myślami szły wślad pytania, a za niemi odpowiedzi, i byłoby tak szło Bóg wie dokąd, gdybym nie był rzucił okiem na biały dworek stojący o kilkadziesiąt kroków od drogi. Przed dworkiem stał ksiądz kanonik P., proboszcz z pod Krasnegostawu, znany mi od dawna i zaszczycający mnie swoją życzliwością.

Kazałem zaraz stanąć i wdrapawszy się pod górę, rzekłem:

— Jak się ma ksiądz kanonik dobrodziej? Cóż go tu w te zalane błotem okolice sprowadza?

Szanowny kapłan uściskał mnie czule i odrzekł:

— Przyjechałem tu oddać ostatnią posługę najlepszemu memu przyjacielowi, człowiekowi, który w testamencie zastrzegł abym ja go do ostatniego mieszkania odprowadził.

Gdy kapłan tych słów domawiał — wtedy dopiero spostrzegłem, że przed drzwiami dworku stało czarno malowane wieko od trumny.

— Któż był ten pański przyjaciel, jeżeli wolno zapytać, rzekłem.

— Wolno — bo dlaczegóżby miało być inaczej. Był to mój niegdyś sąsiad, właściciel pięciu pięknych wiosek, ostatni potomek starożytnego imienia, ale dziwak jak to najlepszym, najrozumniejszym ludziom często się przytrafia. Na kilkanaście lat przed tem sprzedał majątek, pieniądze rozdarował, to krewnym, to różnym dobroczynnym instytucyom, wdział szarą długą kapotę, osiadł w tym dworku i uazwał się Bezdzietnym.

— Bezdzietny! zawołałem z radością; prawie z taką, z jaką niegdyś znalazca Ameryki rzekł do swoich towarzyszy: ziemia!!

— Cóż cię to tak zadziwia czy cieszy? — zapytał kapłan.

— Jakże niema cieszyć kiedy ja oddawna byłbym dał konia z rzędem aby się dowiedzieć historyi o Bezdzietnym.

— Nie wesoła to historya mój chłopcze, ot prawie jak wszystkie historye tych, którym już tylko należy się garść stolarskich wiorów pod głowę. Dnie życia jako paciorki nanizane na różaniec. To kilka zwyczajnych, to znów grubszy szczęścia albo niedoli, uśmiechu albo łez. I tak u każdego, z tą różnicą, że u jednego mniej tych grubych paciorków a u drugiego więcej; ot w miarę ścieżki, po jakiej Bóg go wiódł po świecie.

— Ale u Bezdzietnego musiało być więcej tych grubych paciorków?

— Zapewne — bo do jego życia, możnaby przyłożyć owe słowa psalmisty: „dam ci wszystko, ale nie to czego pożądasz.“ Miał on majątek wielki, intratny, bez grosza długu, miał żonę śliczną, skromną, cnotliwą, a taką bogobojną, że ją do świętych można było policzyć. Włościanie miłowali go jak ojca, ubić by się dali za niego — sąsiedzi, ba nawet szlachta z odleglejszych okolic, czcili go jak swego patryarchę, żaden kompromis nie obszedł się bez niego, kiedy spraszano jaki festyn, to pierwsze zapytanie było, a czy pan Wojciech będzie? Serce miał przytem jedyne; jeżeliś spotkał biedaka z rozjaśnioną z radości twarzą to pewnie pod jego bramą, — z kąd kwestarz radecznicki wyjeżdżał na pełnym wozie zaczerwie-

niony jak ćwik i jeszcze ocierający z ust resztki śniadania — z jego dworu. Więc i sumienie pewnie nie kołatało do jego duszy jak wierzyciel do dłużnika? więc i szczęście powinno było być u niego codziennym gościem?! Gdzie tam bratku, poczciwy ów człowiek, często chodził jak nie swój, zgryziony, złamany, a spytać go było co mu jest, wręcz odpowiadał. „Ja ostatni z mego rodu, komu zostawię imię, majątek, kiedy nie mam dzieci?“ Myśl tę szatan kusiciel ciągle mu poddawał i póty przysałał, aż nieborak postanowił rozwieść się z ukochaną najlepszą żoną. Co to było płaczów, narzekań z obu stron, a jednak djabeł się uwziął i dopiął swego: Pan Wojciech się rozwiódł.

Była w sąsiedztwie panna już nie pierwszej młodości. Ludzie omijali ją, bo czuli przez skórę jakie to było ziółko. Pan Wojciech, jakby mu bielmo zastąpiło, ku niej zwrócił oczy, a jak raz zwrócił tak już nie odwrócił aż powiódł do ołtarza. W rok urodził mu się syn. Co to było radości, uczt, fajerwerków? istotnie szaleństwa ten człowiek dokazywał. W niespełna jedenaście miesięcy po urodzeniu syna cieszył się córką, ale uciecha jego mniejszą już była, bo o jejmości różnie gadano i kilka takich wieści doszło aż do niego. Nastały swary, ze swarów niechęć, cierpiał jednakże wszystko ze względu na dzieci. A jejmość cuda dokazywała, jeżdżąc po obcych stolicach, po Marjenbadach, Karlsbadach i Bóg wie gdzie, zwożąc zamorskich guwernerów, rozumie się zawsze gładkiego lica. Grzech, obraza Boska, zły przykład dla córki, od której nie dała się odczepić. Jakie ziarno, taki owoc, powiada przysłowie, — panna dorosła ale przerosła matkę, w narowach. — Dość, krótko mówiąc, wykradła się z jakimś baronem niemieckim, który ją poznał u wód, i jeżdżąc tak z nim przez cały rok po Europie, zniknęła bez śladu we Włoszech. Mówili jedni że ją ją jakiś Wenecyanin odkradł, ale pokazało się, że utonęła, przewożąc się gondolą w nocy po kanale. Czy to było z wypadku, czy z czyjej przyczyny, pozostanie na wieki w tajemnicy. Syn był jedyną pociechą pana Wojciecha, wyrósł pięknie, nauki przyjął wybornie i z patentem uniwersyteckim powrócił w rodzinne strony. Trafiło się, że przejeżdżając do Lublina, zajechał na popas do Chełma; konsystowali tam ułani, i kilku oficerów wyprawiło sobie ucztę w oberży. Stancya gościnna była tylko jedna, musiał więc pomieścić się w kącie obok ucztujących. Kazawszy sobie podać obiad, zabierał się do jedzenia, gdy dobiegła do niego przerywana ciągłym śmiechem rozmowa towarzyszy. Opowiadali sobie jakieś miłosne historye, w sposób tak brudny i szyderski, że młodzieńcowi włosy na głowie powstały, gdy posłyszał, że przedmiotem tej rozmowy była jego matka. Zerwał się od stołu i dawszy się poznać kto jest, zażądał natychmiastowej satysfakcyi. Jeden z opowiadających przyjął wyzwanie, wyjechali pod Stołpie i tam na łączce pod lasem stanęli do pojedynku. Oficer jako wyzwany miał pierwszy strzał, strzelił, i kula przeszyła szlachetne serce młodzieńca. Rozpaczy ojca nie będę opowiadał, wystawisz sobie ją łatwo. Wszystkie jego nadzieje i widoki spełzły, ot nieprzymierzając niby pobłysk nocnego ognika. Ciężką słabością przypłacił wiadomość o swojem nieszczęściu, a potem zrobił jak powiedziałem na początku, sprzedał majątek, rozdarował ogromne sumy, osiadł tu w tym domku, gdzie niegdyś mieszkali rodzice jego pierwszej żony i nazwał się *Bezdzietnym*.

Wiem, że lubisz zastanawiać się często nad najdrobniejszym przedmiotem, rozważ więc jak wiele nawet w tem przezwaniu się, zawarł biedny człowiek najgłówniejszej myśli swego żywota, jest to kamerton jego duszy i dziwię się że wiedząc o jego przybranem nazwisku, nie domyśliłeś się osnowy, na której godziny i dnie desenie tego życia wydziergały.

Pokażę ci jeszcze podpis, jaki pod swoim portretem zostawił, tylko proszę ci nie napisz mu nekrologu albo nagrobka. Wam plotkarzom gazeciarskim, (przepraszam za porównanie tego, kogo ono dotyczeć może), zdaje się że wielką łaskę przez to wyświadczacie, a tymczasem on zastrzegł sobie w testamencie, że ponieważ na smętarzach i w szpaltach gazeciarskich wszyscy są wielcy i cnotliwi, przeto on jeden chce być maluczkim i złym między niemi. Chce być tem, czem był.

Kończąc te słowa zacny kapłan, zaprowadził mnie do izby. Ciało zmarłego leżało w trumnie, twarz wyrażała ową ujmującą godność, jaką widziałem niegdyś na niej wyrytą, przykląkłem i odmówiwszy wieczne odpoczywanie, zabrałem się do obejrzenia obrazu.

U spodu napisany był wyraźnie następujący czterowiersz:

Zbolałe ziarno w ziemi już się nie odrodzi,
Pień z korzenia spruchniały już się nie odmłodzi.
Grzechy żywota ciężą, starość gnie ku ziemi,
Żegnaj mi słońce życia z nadziejami swemi!

— A co? rzekł ksiądz kanonik z wyrazem przekonania, płynącym z duszy — czy stojąc na ostatniej spruchniałej i gnącej się desce — wyrzekł się ten człowiek swej ulubionej myśli? Nie zaiste! bo wierz mi, mój chłopcze, że łacniej bez młotka i pilnika odkuć więźnia od muru niżeli człowieka od myśli, która duszę jego owładnie. Gorżkie zawody, żelazne prace kapłanów, same nawet nieszczęścia odlecą jak puch od muru, bo wielbłąda przez ucho igielne nieprzyciągniesz, dumnej myśli z człowieka, jak niedoperza z włosów nie wyrwiesz! *Grzegórz Kostrzewa.*

Do * * *

Czarowny uśmiech, lube spojrzenie,
Kwiatku z jakiegoś ty pola?
Ty podolanka, o, na zbawienie!

Przysięgam — córka Podola,
Toż nasze niebo, pełne uroku,
Słodyczy pełne lśni w twojem oku.

Melodja śpiewu, niebiosa wdzięku,
Dzwoni tak rzewnie, miłośnie, —
Nasze słowiki w śrebrzystym dźwięku,
Milej nie nócą o wiośnie; —
Ty Podolanka, śpiew twój pieszczony,
Zdradzi słowika z dalekiej strony.

Wonny ust koral, różane lice,
Świeże jak ranku szkarłaty,
Tylko podolskie mają dziewice,
Tylko podolskich pól kwiaty; —
Po woni poznam różę śród wianka,
Śród dziewic poznam, żeś Podolanka.

Przy smutnej piosnce ocząt niebiosa,
Widziałem łzami zalane, —
Wiosną o zorzy przeczystsza rosa,
Nie zdobi kwiatki różane; —
Ty Podolanka — tylko Podole,
Takiemi łzami spowiada bole. H. J.

12. marca 1849.

Z PAMIĘTNIKOW UŁANA.

DRUGI USTĘP

Po skończonem apelu zgromadziło się z 15 podoficerów i kadetów do jednej mniejszej sali, gdzie stał sierżant kompanii; żołnierza nie było tam żadnego, bo muszę tu uczynić wzmiankę, że żołnierz prosty razem z podoficerem w towarzystwie nie miał miejsca, ten ostatni zaś nie śmiał znowu się znajdować tam gdzie oficer się bawił. Arystokracya ta do tego stopnia posunięta była, że gdyby przypadkiem kadet lub podoficer znalazł się w jakiem prywatnem miejscu i w najlepsze się bawił, a w tem nadszedł tam oficer, chociaż by to był brat rodzony, jeżeli mu wyraźnie niepozwolił zostać, winien był natychmiast wśród najżywszej nawet zabawy, czy to od stołu, czy od tańca odstąpić, wziąć czapkę, zrobić na lewo wtył i odejść. W miejscach publicznych, jako to: na balach, teatrach, redutach, kasynach bywać, jako też jeździć dorożką czyli fiakrem, pod żadnym pozorem nie wolno było tylko oficerom.

Otóż zeszli się panowie podoficerowie i kadeci. — Mój znajomy obmyślił wszystko należycie, rozumie się za moje pieniądze, abyśmy się nie nudzili — a jak mi mówił potrzebne, żebym się dał poznać godnie, zwłaszcza sierżantowi kompanii i podoficerom, jako najbliższej mojej przyszłej zwierzchności, a kadetom jako moim nowym kolegom. Było co pić, była i przekąska, gadało się to o tem, to o owem. A kiedy mnie się już dosyć nawypytywali, z kąd jestem, jakiej kondycyi, gdziem i czego się uczył? i t. p. prosiłem także aby mi cośkolwiek opowiedzieli o w. księciu Konstantym, o którym od dzieciństwa mego słyszałem wiele osobliwszych opowiadań i szczególnych rysów jego charakteru. A że humory były już wesołe, i na tym to punkcie, gdzie to człek czuje potrzebę albo poufnego wylania się, albo doznanych wydarzeń wspomnienia, lub wreszcie z troski albo przykrości zwierzenia się, — więc sierżant kompanii, stary wiarus z trzema szewronami na ręku, co znaczyło 20 lat służby, i ozdobiony krzyżem legii honorowej, pociągnąwszy z szklanicy i zgasłą zapaliwszy fajkę, pokręcił sumiastego wąsa i tak zaczął:

— Mój bracie, nie z jednego się to już pieca chleb jadło, bo na przyszły rok, jeżli da Bóg zdrowia, należy mi się czwarty szewron a więc i 25 lat przesłużone, i za dawnej organizacyi wróciwszy z wyspy Domingo, służyłem w uzarach Umińskiego. Ale cóż? na pewnym rekonesansie diabeł mnie z koniem wepchnął w jakąś wilczą jamę. Bo choć oko wykol, ciemno było, a konia miałem waryata, więc zwaliła się bestya na mnie i piersi mi kulą od kulbaki zgniótł. Leżałem w szpitalu czas nie mały, a wyszedłszy, mając słabe piersi, podałem się o przeniesienie mnie do piechoty, bo do domu wracać nie miałem ochoty, jeszcze w takich czasach, kiedy to żołnierz polski, należący do takiej armii sławnej jaka była pod wodzą cesarza Francuzów, Napoleona, znaczył nie mało w świecie.— Otóż kampanią rosyjską odbyłem już jako piechur — a w przejściu przez tę diablą, bagnistą Berezynę nie tyle przecież piechota ucierpiała jak konnica. Zato w rejteradzie było kuso — ale już to my Polacy nie tak dbaliśmy na zimno, co ci biedacy Francuzi a Westfalczyki rabusie! Padało to jak muchy po drodze. — Pożniej pod Lipskiem jak wiadomo, Polacy zasłaniali odwrót Francuzom. Moskale tuż tuż nacierali, rznęli do nas z dział i z ręcznej broni. — Ja na szczęście byłem na przodzie naszego korpusu — i ledwieśmy przeszli most, aż tu puf! i most poszedł w powietrze, a nasi zostali się na drugim brzegu. Czyja to ta szatańska sprawa była? dotąd niewiadomo. — W chwili jednej rzeka Elster napełniła się płynącymi, co woleli ginąc, jak się poddać, mało kto przebrnął szczęśliwie. Nasz dzielny ks. Józef! widziałem jak się ztoczył z konia, bo trzy razy był już ranny, płakałem jak dziecko, ba to nie tylko ja płakałem, a jak nie było płakać, kiedy poszedł na dno i zniknął na wieki! a rady żadnej dać mu nie było można, s a c r e d i e u!

Marszałek Francyi, Macdonald, co tuż za książęciem płynął, byłby doznał tego samego losu, bo koń jego nie mógł się wydrapać na wysoki przeciwny brzeg, już się walił w tył, gdym przypadł, porwał szczęśliwie za cugle, pociągnął silnie, tak że koń się wygramolił, i marszałka ocaliłem, a choć to było śród popłochu, miał tyle czasu, że oderwał ze swoich piersi wstążkę tę samę oto wstążkę co widzicie przy moim krzyżu, i dał mi ją rzekłszy tylko: *merci camerade, souviens toi de me trouver apres l' affaire,* co znaczyło tyle — no ale przetłumacz to jmć panie studencie, jeżeliś darmo kaszy w szkołach nie jadł, to ja zaraz tu poznam.

Uśmiechnąłem się, ale byłem kontent że się popiszę z moją znajomością francuskiego języka. — Wytłumaczyłem im tedy, że to znaczyło: dziękuję ci kolego, niezapomnij mnie poszukać po skończonej sprawie — *A bravo!* bardzo dobrze — tak w samej rzeczy.

— I cóż, zapytaliśmy go wszyscy, widziałeś marszałka?

— A no jakżeby było? przecież musiałem marszałka usłuchać, kiedy kazał — a potem cóż by mi było po wstążce, gdybym był nominacyi niedostał na papierze? Ale dopiero przed bitwą pod Hanau udało mi się znaleść porę, zameldować mu się w jego obozie.

— *C' est bien — c' est bien,* rzekł jak mnie ujrzał, *merci encore une fois merci, mon brave!* Ścisnął mnie za rękę do której mi wsunąć chciał kilka luidorów. *Sacredieu!* markotno mi się zrobiło, ale wolno mu było człowieka i próbować. — Więc tylko wskazując na piersi z uszanowaniem rzekłem: *mon Prince*, jestem wynagrodzony należycie, upraszam tylko o patent na krzyż. Uśmiechnął się, ścisnął mnie jeszcze za rękę i powiedział: *c' est bien de votre part, tu es brave et homme d' honneur — je me souviendrai de toi.* I kazał mi iść za swoim adjutantem do szefa sztabu, któren mi wręczył patent na krzyż legii honorowej. Do pułku zaś na drugi dzień przyszedł rozkaz dzienny w którym ogłoszono przed frontem, że za uratowanie życia marszałkowi zostaję ozdobiony legią, a nadto w dowód zadowolnienia jego z mojej osoby, posunięty na podoficera! No przyznajście że tu więcej było szczęccia jak zasługi, bo tosamo każdy, największy nawet poltron byłby zrobił. Ale w wojsku, tak jak w całym świecie, jak fortuna się frontem do kogo obróci, to mu idzie wszystko jak chleb z masłem. — A niech się kto inny jak chce stara i zabiega, kiedy się licho jakieś uweźmie na niego, to mu nie pomoże, zawsze będzie w tyle i na dole — ot najlepszy przykład z naszego 4go liniowego pułku. — Diabeł wie co sobie w nim od razu w. książę upatrzył? Ot zwyczajnie pańska fantazya, bo to panie odpuść! same wisusy, co gdzie ze świata napędzono za różne sprawki, co już u ludzi nie mogło się wychować, przyszło i do 4go liniowego się zaciągnęło, i dla tego też każden czwartak mógłby lekcye dawać, jak się po formie kradnie. A tymczasem to się spodobało — no i cóż? Dziś prawda tęgo jest a może i najlepiej wyrobiony pułk, a dla czego? Bo już wiedzą że książę ma na niego oczy zwrócone, to pracują nad nimi jak nad dziećmi, dobierają im ludzi pięknych, zgrabnych a teraz nawet i porządnych wcale — bo już niedbają i panicze i synowie jaśnie wielmożnych że oni tam taką renomę mają, ale cisną się na kadetów, bo im z tem potem dobrze. — I rekrut szczęśliwy, jak się tam dostanie, bo to co gdzie nie ujdzie, w 4tym liniowym ujdzie, bo tam każden żołnierz ma, diabeł wie za co, jakiś przywilej, żeby bąki zbijał, pił, w karty grał, dzieci kradł, księcia samego okpiwał, i zato jeszcze na posełkach kawę spijał i ruble brał a nawet na obiady do Belwederu jeździł.

— I jakże to się ma rozumieć? zapytałem nadzwyczajnie ciekawy, proszę pana sierżanta mnie to opowiedzieć.

— O to za długie na dziś historye, a już poźno — potem przypatrzysz się temu wszystkiemu jeszcze nie raz na własne oczy jak tu zostaniesz mój panie.

— Ej nim woda zawre na świeży czaj, opowiedz nam panie sierżancie, zawołał mój znajomy; my sami choć się na to patrzemy co dzień, a jakoś lubimy słuchać zawsze. Noc długa — jeszcze się wyspimy, a jutro nasza kompania nie ma służby.

— A no dobrze, kiedy chcecie koniecznie — ale rumu tam we flaszce niema — i jakiż to będzie czaj?

— Ot jest tu druga flaszka, wyciągając z pod stołu i pokazując do światła, odpowiedział mój patron.

— A to co innego — a więc słuchajcież! A odkrząknąwszy i swoją zapaliwszy fajkę, tak zaczął stary sierżant:

— Trzeba wam wiedzieć — bo to wy niewidzieliście tak jak ja na początku organizacyi w 15tym roku — kiedyto w. książę objął naczelne dowództwo nad wojskiem polskiem. O nie był to on w tenczas takim jak dziś — co go już żona Polka ugłaskała, i choć czasem jeszcze groźny, ale już nie taki szalony! Ale wtedy Chryste Jezu! ogień i skra, straszny to był człowiek — Nieraz tam własną ręką skrzywdził, szlify oficerom obdzierał, kopał, do dorożki kazał przywiązać jak kogo nie po formie zdybał i tak go wiózł pod Orła — a tam przy sobie kazał pałki sypać do śmierci. — Ot zgroza mówić co się działo! Wielu chłopców młodych w łby sobie postrzelało, wielu umarło w szpitalach — i trwało tak ciągle, aż raz padło na kuzyna jenerała Chłopickiego, a był w szkole podchorążych z 5tego pułku piechoty.

Właśnie niedawno co wyszedł surowy rozkaz, żeby żaden żołnierz, podoficer, kadet, ani podchorąży nie ważył się włosów długich nosić, a tem bardziej ich fryzować lub zacierać do góry — lecz forma była wydana, ot taka jak dziś krótko zgolona i kwita. Ale młody Chłopicki znać ufny był w to, że ma stryja jenerałem — co go nie tylko cała Europa z Hiszpanii zna, ale i zucha co by sobie w kaszę dmuchnąć nie dał, choćby nawet i w. księciu Sacristi! Więc żal było paniczowi pięknych blond włosów i pozostawiał sobie po bokach utrefione faworyciki, które z pod furażerki pięknie wyglądały. Raz kiedy sobie przez krakowskie przedmieście paraduje, aż tu pędzi dorożką kto? w. książę. Zdaleka już spostrzegł — bo oko ma jak ostrowidz, że to jakiś fanfaronik, włosy ma nie po formie. Dojechał go — kazał stanąć — i wraz zapytał: Co ty za jeden? a gdy odpowiedział: podchorąży Chłopicki, W. książę, któren jenerała nie lubił od początku i zawsze go bandytą napoleońskim nazywał — jak i dotąd kiedy zły, mianuje nas Napoleończyków — kazał mu wsiąść za do-

rożkę i zawiózł pod białego Orła. Komendantowi warty kazał go aresztować a na drugi dzień 50 pałek mu odliczyć i po paradzie raport o tem na pismie sobie zdać. Komendant warty naturalnie doniósł to natychmiast jenerałowi. Chłopicki jak jest raptus, wpadł do jenerałów Krasińskich, Żołkiewskiego, Rożnieckiego, Stasia Potockiego i wszystkich starych Napoleonczyków — opowiedział im co zaszło i zaklął na słowo honoru, aby się podali do dymisyi, co mu oni przyrzekli. — Na drugi dzień wziął z sobą kuzyna z odwachu do Brülowskiego pałacu i gdy po paradzie i po zameldowaniu się pieszych posełek, książę miał raporta odbierać — wchodzi jenerał Chłopicki. Skoro go ujrzał Konstanty, natychmiast rzekł do niego:

— Chłopicki, a czy ty wiesz że twój kuzyn za niesubordynacyą i niedopełnienie przepisów jest aresztowany i dostał 50 pałek, he?

— „Nie mości książę“ odparł jenerał „podchorąży Chłopicki stoi tu za plecami jenerała Chłopickiego“ wskazując na drzwi które otworzył i wprowadził swego kuzyna do sali. A ktoby się go poważył dotknąć, ten musiałby wprzód do niego dostać się przez tę pierś — a tymczasem mam honor złożyć moją dymisyę.

W tej chwili wchodzą wszyscy prawie jenerałowie i składają dymisyę. Wtenczas w. książę niewiedząc co robić, zaczął chodzić po sali, coś z cicha po francusku i po rosyjsku do siebie mówić, pięści zaciskać, nareszcie przystąpił do nich i rzekł:

— Moi panowie, ja waszych dymissyi nie przyjmuję, ale doniosę o tem memu bratu, waszemu cesarzowi i królowi, niech on ją przyjmie jeżeli mu się podoba. Co do mnie, może być, że nadto żywo czasem czuję uchybienia przeciw subordynacyi, ale musicie się zastósować do rozporządzeń i przepisów jakie dla wojska, poddanego pod moje naczelne dowództwo, są ustanowione. Ja tu widzę tylko między młodzieżą opór i hardość, tę przełamać jest moją powinnością, punkt honorem. Idźcie, wysyłam sztafetę dziś do Petersburga.“ O młodym Chłopickim nie rzekł ani słowa, jakby go nie widział.

W krótce nadbiegł kuryer wiożąc ujmujący, własnoręczny list Alexandra do generałów i tłumacząc porywczość brata, którego napominał, prosząc aby w samym początku niedawali złego przykładu wojsku i nieosierocali tych weteranów, których szczątki, znane światu z waleczności, sami do ojczyzny przyprowadzili, że ma nadzieję, że zostaną na jego prożbę i służyć zechcą na dal swojemu krajowi i t. p.

Na podobne słudycze nie było co odpowiedzieć. Wszyscy pozostali, tylko Chłopicki jeden uparł się i wziął dymissyę z charakterem. Odtąd najwięcej przebywa w Francyi, gdzie pobiera pensyę a jak do Warszawy przyjedzie, to na saskim placu bywa po cywilnemu, a Konstanty którego jeszcze bardziej nie cierpi, ale nie okazuje tego, często bardzo oprowadza go po pod rękę, po przed szeregi, chwaląc się, co to on z polskiego żołnierza porobił.

— I cóż na to Chłopicki? zapytaliśmy.

— Widzę to mości książę, widzę, zwykle odpowiada krótko i ręce w tył założywszy chodzi sobie po placu.

— Już to jeżeli by kiedyś, coś? no ale to niema co o tem mówić; ale że ten Chłopicki jest jeden z tych jenerałów jeszcze, jakich to żołnierz lubi, to i to prawda.

— A cóż z jego kuzynem się stało.

— Na drugi rok został oficerem, posłużył z rok i wziął dymisyę. Odtąd książę zmiękł, zwolniał jakoś, i z innej beczki jak to mówią zaczął. Nie obejdzie się i teraz jeszcze bez tego, żeby się komuś coś nie oberwało, i to uczciwie, albo żeby całej parady, jak zły humor padnie na niego, nie zostawił czasem na placu bez rozkazu odstąpienia nieraz i przez całą dobę na koniach i pod bronią; albo żeby nie zbezcześcił całego sztabu publicznie. Ale to już nie tak często się zdarza. Zresztą już się przyzwyczajono do tego i naprzód się wie, że choćby tam aniołowie w mundury się ubrali i wystąpili, on będzie piorunował i wszystko będzie źle, skoro tylko: 1mo. przyjechawszy na plac nie przywita wojska temi wyrazami: Jak się macie chłopcy! 2do Gdy pięści ma ściśnięte i ręce od siebie nadzwyczajnie odstawione, a idzie po przed szeregi wolno, tak jakby się czaił, bo wtenczas na słońcu plamy szuka i zawsze ją znajdzie. 3tio, potem gdy wsiędzie nakonia i zaczyna go szporować, a jak już i szpadą bije, to oddaj się Bogu, wtenczas bracie uszy do góry, bo i dusza może być na ramieniu. No, no, ale to wszystko furdy! Otrzaskaliśmy się z tem teraz, jak to mówią z innej beczki częściej do nas pije, i lepiej podobno sam na tem wychodzi.

— I jakże to te czwartaki oszukują księcia? spytałem.

— Ot jak? różnie. N. p. jechał raz Konstanty po capstrzyku, kiedy to każden winien już być na swojem miejscu, wtem spotyka czwartaka pijanego.

— Stój, co, ty z czwartego?

— Z czwartego.

— Pijany?

— Pijany wasza książęca mość.

— No siadaj tam, — i wskazał mu miejsce za dorożką. Ażeby zaś zapewnił się że siedzi, kazał mu trzymać rękaw od płaszcza. Nasz czwartak nie w ciemię bity, wiąże do dorożki rękaw, a sam w nogi i bocznemi ulicami wpadł do koszar nim książę nadjechał. „Bierzcie tego pianicę“ zawrzasnął Konstanty, skoro zajechał przed koszary. Oficer od służby, nierozumiejąc o co idzie, salutuje i pyta kogo ma brać, myśląc że może zwojszczyka.

— Tego tam, tego, krzyknie wskazując za siebie. Ale tam dawno nikogo nie było. Dopiero gdy się przekonał że go wiarus oszukał, kazał zrobić apel pułku całego, ale nie mógł poznać, bo winowajca wytrzeźwiał natychmiast, — a chociaż dał przed frontem słowo honoru że przebaczy i da gratifikacyę byle się dał poznać, jednak niedowierzał poczciwiec, chociaż ja myślę że może mógł uwierzyć. I tak z kwitkiem książę odjechał.

— A dziecko jak ukradli?

— O 4ty pułk ma swego rodzonego teraz syna, już kilkoletniego chłopaka, którego wychowuje wspólnym kosztem, a to z tej okazyi. Raz w dzień targowy, za żelazną bramą jakaś kobieta, snać wyrobnica, chcąc swoje dziecię oddać na wieś w mamki, jak to jest zwyczaj wszędzie w większych miastach, w kobiałeczce przykrytej swoje spiące niemowlę zostawiła na wozie chłopa z Jabłonny, któren ją podjął się tam zawieść, a sama jeszcze za ezemś do miasta pobiegła. Czwartaki, którzy w dnie targowe zwykle myszkują po targowicy, zauważali że coś na wozie kobieta chłopu zostawiła. Niedługo więc jeden taki koleżka podchodzi do mazura i tak go zagadnął:

— Czyście gospodarzu nie z Jabłonny czasem?

— Albo co panie wojak? to juści nie z kąd inąd.

— Doprawdy, a jak się tam miewa kowal? Znał hultaj na szczęście kowala z Jabłonny.

— Ot stary krzepko się trzyma, a może to jaki wasz?

— Tak sobie piąty kół w płocie, ale zawsze dobry znajomy — jego córka hę?

— Aha to o córeczkę wasanu chodzi? a czysta dziewucha, niema co rzeknąć, możebyście o niej zamyślali? ale żołnierz żenić się nie może.

— No, no, słuchajcie no gospodarzu, chodźmy na blaszkę tu naprzeciwko, to ja wam to opowiem i dam jedno zlecenie do starego.

— A ba jakżeż? kiedy tu kobiałki pilnować muszę.

— At będziem wyglądać oknem, toć jej tu nikt nie sprzątnie. (D. n.)

Galerya wodzów w teraźniejszej wojnie.

20. Maria Józef Bosquet,

jenerał dywizyi.

Jednym z najulubieńszych imion w armii francuskiej w Krymie jest jenerała Bosqueta. Należąc do młodszych oficerów armii, złożył przy rozmaitych sposobnościach dowody wielkiej przytomności umysłu i nieustraszoności i wzbudził nadzieje niepłonne, iż gdy ważniejsze jeszcze nadejdą chwile, on jednym z głównych przewodników będzie.

Maria Józef Bosquet urodził się w r. 1810, w mieście Pau, w r. 1829 wszedł do szkoły politechnicznej w Paryżu. Potem był dwa lata w szkole wojskowej w Metz — a w roku 1833 z stopniem podporucznika mianowany został nauczycielem w szkole artyleryi. Miał prawo po kursie trzechletnim wybrać sobie pułk, w którym służyć sobie życzy. On tego nie uczynił, podawszy jedynie ogólną prośbę, iż w Algierze służyć pragnie. Odwówiono mu tego, i przydzielono do załogi w Valence. — Tu gorliwie wziął się do studyów teoretycznych, co zwróciło na niego uwagę przełożonych. W następnym roku otrzymał rozkaz udania się wraz z swym pułkiem artyleryi do Algieru. I tu wnet odznaczył się swemi zdolnościami i szybko posuwał się z stopnia na stopień. Roku 1836 został nadporucznikiem, w r. 1839 kapitanem w artyleryi. W tymże samym roku przeniesiono go do pionierów — w roku 1841 wrócił znów do artyleryi. Roku 1842 mianowany został szefem arabskich tyralierów a r. 1845 podpułkownikiem lekkiej piechoty. We dwa lata póżniej już był pułkownikiem. W sierpniu 1848 mianowany brygadierem a w r. 1853 jenerałem dywizyi i do dyspozycyi ministra wojny oddany, który mu powierzył dowództwo drugiej dywizyi, idącej na Wschód.

Mało bardzo wyliczyć by zdołano bitew i wypraw z wojny dwudziestoletniej w Algeryi w którychby jenerał Bosquet nie miał czynnego udziału. 1841 raniony był w bitwie pod Sidi Lackhdar a r. 1851 gdy na czele brygady sforsował przeprawę przez Menagel, i rozpoczął wyprawę w Kabylii, otrzymał niebezpieczną ranę kulą w głowę. W bitwie pod Almą obejściem lewego skrzydła Rossyan roztrzygnął wygranę, a w bitwie dnia 5. listopada zarownie ważną miał missyę.

Jenerał Bosquet jest jednym z najlepszych znawców Algierii i jej mieszkańców. Obeznany z językiem arabskim, gorliwie czynił studya obyczajów, historyi i przyrodzonych własności tego kraju. Waleczny na bojowisku, był łagodnym i wyrozumiałym dla zwyciężonych. Prawie każde pokolenie arabskie, do którego posłany był, zachowuje jakąś szacowną pamiątkę jego administracyi. Gdy jedno z tych pokoleń dowiedziało się iż Bosquet przeniesiony jest do Orientu, jako dowód swego szacunku przesłało mu piękne ostrogi z prożbą, aby je w tej kampanii nosił; przyrzekł i przyczenia sumiennie dotrzymuje.

Ciekawe jest zdarzenie, które po raz pierwszy zwróciło uwagę wszystkich na jego wojskowe zdolności.

Śród wyprawy przeciw jednemu pokoleniu, które broń podniosło, oddział Francuzów został nagle od przeważnej siły Arabów obskoczony. W tym oddziale znajdował się porucznik Bosquet, dowodzący półbateryą dział. Niebezpieczeństwo było wielkie, a plan operacyjny głównego dowódzcy nie zdawał się być stosowny. Bosquet otrzymał rozkazy co do kierunku w którym swe działa ustawić i strzelać ma. On jednak poważył się przełożyć jenerałowi niestósowność danych mu rozkazów i w ogóle całego ustawienia wojska, i z swej strony uczynił projekt manewru, który zmuszał nieprzyjaciela do rozdzielenia swych sił i znaczną mu zadawał klęskę. Jenerał uznał trafność tego planu, i wykonanie polecił twórcy onegóż, porucznikowi Bosquet. Skutek przeszedł wszelkie oczekiwanie, i dowiódł zdolności improwizowanngo 24-letniego jenerała. Za ten czyn piękny proponowano go do ozdobienia orderem legii honorowej. Tymczasem imię jego znikło z przed-

łożonego ministrowi spisu. To oburzyło kolegów Bosqneta. Wysłali deputacyą do wojennego gubernatora Algieru, wzywając go, aby niesprawiedliwość popełnioną naprawić raczył. Osobnym dekretem otrzymał Bosquet order legii honorowej.

Również jako człowiek prywatny odznacza się jenerał Bosquet niepośłakowaną uczciwością, prostotą obyczajów i otwartością szlachetną.

Co rozumieć teraz należy przez wyrażenia:

człowiek dystyngowany, człowiek porządny, człowiek filozof.

Do trzech szkiców kobiet dodać należy trzy inne mężczyzn, jako dopełnienie, *pour faire pendant.* A naprzód figura pierwsza

1. *Człowiek dystyngowany.* (l'homme comme il faut.)

Jestto gatunek w naszym klimacie przyswojony, gdyż w języku nie mamy na określenie go wyrazu, ale w modnym i niemodnym świecie gatunek to pożądany. Człowiek dystyngowany rzadko kiedy chodzi piechotą. Najlepiej jeżeli może mieć swoj ekwipaż, nie ma go, to najmuje karetę gdy jest w mieście, a w najgorszym razie dorożkę na godziny, którą raz płaci w dwójnasób, a częściej na rachunek, nigdy zupełnie nie zaspokojony.

Zawsze jednak drwi sobie z tych co drepczą piechotką i rzadko kiedy naraża swoją osobę na podobne mieszanie się z tłumem, a jeżeli mu się to zdarzy przypadkiem, to przynajmniej rękawiczki nieposzlakowanego kroju i koloru, rękawiczki paryskie świadczą zawsze o jego wartości.

Ubiór jego jest najwierniejszem paryskiego dziennika mód odbiciem, uprzejmość nadzwyczajna, jednak różnemi odcieniami stopniująca się, według położenia towarzyskiego tych, z któremi ma do czynienia. Buty jego są nieskazitelnej elegancyi, jednak woli dać czekać szewcowi, który po dziesięć razy o zapłatę się upomina, jak niekupić najwykwintniejszych i najdroższych perfum. Wytrąca i niedopłaca za lada uchybienie swojemu służącemu, a za podanie płaszcza daje dukata lokajowi której damy *z towarzystwa, une personne de la société.*

Otóż więc człowiek dystyngowany skądkolwiek by on wyszedł, jest także gwałtem *de la société.* Do tego potrzeba pieniędzy, dużo pieniędzy, nie patrzy więc człowiek dystyngowany na źródło z którego je wydostaje.

On ma wzrok krótki, a szkiełko którego używa, rozjaśnia tylko w jego oczach wdzięki kobiet, i ozdoby ich stroju, na którym się zna doskonale. Szkiełko pomaga mu także do prędszego rozpoznania wśród salonu okrzyczanych *heritierek*, którym zawsze najniżej się kłania i za któremi jak na lep biegnie. Jednak nie myślcie żeby człowiek dystyngowany mówił kiedy dobrze o jakiej kobiecie; to jeszcze w modę nie weszło, a nasz panicz przedewszystkiem trzyma się mody. Zna po imieniu wszystkie aktorki, uwielbia gracyę baletniczek, a lekceważy inne kobiety. Jedna dla niego gęś głupia z którą nie ma co mówić, druga mądra filozofka która go nudzi, każda przepadałaby za nim gdyby chciał tylko. Lecz ta ma nogę za małą, tamtej nos za wydatny, słowem niema żadnej coby godną była jego wzbudzić uczucia. Jeżeli jeszcze człowiek dystyngowany może mieć uczucia? On je nazywa cechą młodości, której już dawno się pozbył, żaden więc zapał, żadne uniesienie szlachetne nie jest w stanie pokoju mu zamącić. Deklamuje wprawdzie o wszystkiem, i stara się zawsze w salonie robić *efekt*, umie na pamięć wszystkie nowe teorye i popisuje się z niemi według potrzeby.

Nie potrzeba zapewniać że tańczy wybornie; mówi poprawnie po francusku, bez tego mógłżeby być człowiekiem dystyngowanym? Chwali wszystko co za granicą, ubolewa nad ciemnotą ziomków, pewnemi dowodzeniami pochlebia zawsze opinii większości, co nie przekonywa żeby miał stałe swoje opinije, i owszem, on je gotów zmienić razem z krojem swego fraka, według wiatru jaki zawieje.

Człowiek dystyngowany jest odważny i bohaterski w słowach, miewa szumne pojedynki, które kończą się szampanem, ma także podobnych sobie przyjaciół od serca, o których opowiada chętnie różne anegdotki, dla popisania się z dowcipem. Może on nie lubić kart lub oddawać się im namiętnie i przegrywać sumy ogromne.

Jest zawsze ubóstwiany od swojej mamy, która w nim widzi chwałę domu i wtyka mu w rączki co może pieniędzy. Z papą zdarza mu się być często w skrytej wojnie, gdyż jeżeli papa jest czynny i pracowity, on nie myśli bynajmniej wstępować w jego ślady i drwi z niego półgłosem.

Jemu się zdaje bardzo naturalnie, że ten poczciwiec, co nie jest tak jak on pięknym i młodym, i często nawet chodzi w butach z grubej skóry, powinien pracować na niego i być jego ekonomem. A jeżeli jest jedynakiem matki i sióstr i jedynym ich opiekunem, bardzo także naturalnie mu się zdaje, żeby z ich krzywdą większą część dochodów przehulać. Znajduje bowiem że matka za stara, a siostry zawsze za młode, żeby niemiały poprzestać na małem. Człowiek dystyngowany wyrabia się najczęściej z młodzieńca, który prosto ze szkół wyszedł na tak zwanego obywatela, to jest w którego wychowaniu i edukacyi, nie było żadnego planu i celu, a życie próżniackie uwieńczyło kurs nauk szkolnych, ukończony bezkorzystnie lub nawet nie ukończony. Człowiek dystyngowany pogardza wszystkiemi zarobkującemi, w duchu ma ich za jakieś machiny, już umyślnie do pracy stworzone, za nic w świecie nie zadawałby się z niemi i odpycha ich zawsze najsuchszą grzecznością. A jeżeli który z młodzieży pracującej w jakim zawodzie, chce się gwałtem wedrzeć do tego zaczarowanego koła ludzi dystyngowanych, musi zacząć od zupełnego ich naśladowania, a skończyć na lekceważeniu obowiązków, i na szarzaniu życia swego najbrudniejszemi namiętnościami.

(C. d. n.)

Rozmaitość.

* W jednym z tutejszych kościołów słyszeliśmy w niedzielę następującej treści kazanie:

«Odkąd ród ludzki istnieje, sili się rozum człowieczy, aby docieknąć praw bożych, któremi się świat rządzi, któremi cała ludzkość żyje. Dociekając tych prawd, stara się z nich utworzyć pewniki dla społeczeństwa i narodów, by całą ludzkość popchnąć ku tak zwanemu postępowi. Mążowie uczeni, filozofowie trawią nad tem dni swoje, marzą po nocach bezsennych i budują moralnie z odkradzionych naturze prawideł systemata przyszłości, ale przyszłości lepszej, rajskiej, śród której niby ustać mają wszelkie dzisiejszego społeczeństwa przywary. I spełnią-ż się kiedy te marzenia uczonych i filozofów? Czyli pozostaną tylko mrzonką, jak wszystko to, co kiedybądź z ludzkiej wylało się fantazyi?

Nie, przyjdą czasy spełnienia tych życzeń tyle upragnionych, bo przyjdzie prorok wielki i potężny, i sprawi na ziemi takie rządy o jakie tylko pokusić się jest zdolna najognistsza uczonych wyobraźnia.

Będzie to człowiek urodziwy; potęga, która go na świat pośle, wyposaży go w przymioty i władze, jakich dotąd nikt niemiał, a przed którem korzyć się będzie naród człowieczy. Rozpocznie ogromną walkę narodów, będzie zwyciężał zastępy nieprzeliczone, bo będzie walczył pod sztandarem światła, jako «anioł światłości.« Irzeczywistością staną się marzenia uczonych i filozofów, wszystko pój-

dzie po ich myśli, a cokolwiek bądź rozum ludzki dotąd zapragnął jako wynikłość postępu, stanie się g'woli jego i nic uż nie będzie, coby mógł sobie życzyć. Wzniosą ołtarze ofiarne przed swym mocarzem i wojownikiem i prorokiem, w proch upadną przed nim narody, wołając głosem wielkim: Oto królestwo boskie wstąpiło na ziemię, a będzie na niej dobrze, jak jeszcze nigdy nie bywało!...

Ale przestrzegam was, bo to będzie — antychryst!

* Smutny wypadek stał się przed dwoma tygodniami w Sanockich górach. Właściciel Sokołowej Woli, młody, dwudziestokilkoletni człowiek, pan P. wybierał się z swym szwagrem, panem L. na polowanie. Przez nieostrożność pan L. czyszcząc strzelbę, spuścił kurek za mocno, strzelba wypaliła, a przypadkiem idący przez drugi pokój pan P. padł ugodzony strzałem. Pan L. żyjący z panem P. w najlepszych familijnych stosunkach, tak sobie to wziął to do serca, iż w kilkanaście dni potem wystrzałem z pistoletu odebrał sobie sam życie.

* Dla kolej żelaznej, z względów zapewnie strategicznych, nowy obecnie przez Galicyą wytykają kierunek. Ma prowadzoną być z Przeworska przez Kańczugę do Dubiecka, dokąd już zjechali inżynierowie dla wytknięcia linii. Ztamtąd mówią, iż pójdzie do Sambora a dalej prawym brzegiem Dniestru ku Czerniowcom.

* **Od wydawcy.** Z wielu stron otrzymaliśmy wezwania, aby rozszerzyć oddział w naszem pismie rolnictwa i handlu się dotyczący. Uznając słuszność tych wymagań zamierzamy umieszczać korespondencye rolnicze i handlowe z całego kraju; w tym celu wzywamy osoby zajmujące sią rolnictwem racyonalnie, lub mające wiadomości dokładne o handlu, przynajmniej z okolicy ich mieszkania, aby raczyli swe uwagi nam nadsyłać, porozumiawszy się w tym względzie z redakcyą.

Mamy pozwolenie wydawania pisma naszego codziennie i do tego dążymy. Lecz jeszcze liczba prenumeratorów tego uczynić nam niedozwala, a prenumeraty podwyższać nie chcemy. Lecz niech każdy z szanownych prenumeratorów w swem kółku stara się o polecenie Nowin przyjaciołom swym, niech raczy doręczyć im listy załączone do dzisiejszego Numeru, a zamiar nasz szybko przyjdzie do skutku. Osobliwie pożyczających od was to pismo sąsiadów, zaaplikowawszy im te listy, można-by skłonić do wsparcia tego przedsiębiorstwa. Podobając sobie w czytaniu utworów znakomitszych naszych pisarzów, niechże raczą i przyczyniać się do exystencyi pisma.

* Cesarzewicz Jegomość Karol Ludwik, jutro wyjeżdża do Wiednia.

* Z powodu iż nam szanowny autor nienadesłał jeszcze dokończenia Dziwożony, przerwać tę powieść musieliśmy.

Przyjechali od dnia 13. do 14. Grudnia do Lwowa.

PP. Jastrzębski Aleksander, z Filipkowic. Jędrzejowicz Maxymilian, z Felsztyna Borowski Ludwik, z Krowicy. Bernatowicz, Hipolit, ze Sarnik. Kawecki Wiktor, z Beniawy. Koziebrodzki Feliks, hr. z Wiednia Batowski Aleksander, z Kulikowa. Ochocki Władysław, z Białego kamienia. Heydel Stanisław, z Chmielowic. Płocki Józef, z Jawczego.

PP. Wybranowski Roman, z Dzwinogrodu. Masłowski Izydor, z Nowosielec, Russocki Włodzimierz, hr., z Dulib. Nowacki Kazimierz, z Tejsarowa. Kielanowski Jan i Tytus, ze Zelechowa. Papara Henryk, ze Zubowych mostów. Wiszniewski Henryk, z Dobrzan. Jabłonowski Józef, z Dołhego. Krasiński Ludwik, hr. z Rohatyna. Zawadzki Władysław, z Jezierny. Siemiginowski Włodzimierz, z Torskiego.

Wyjechali od dnia 13. do 14. Grudnia ze Lwowa:

PP. Rojowski Konstanty, do Czerniowic. Werchowski Edgar, do Pleśnian, Bal Andrzej, do Tyrawy wołoskiej. Polański Xawery, do Rawny. Terlecki Wiktor, do Hoszowa.

PP. Borowski Ludwik, do Krowicy hołodowskej. Czermiński Ludwik, do Sanoka. Noskiewicz August, do Przemyśla. Lang Ignacy, do Wolicy. Wojna Ignacy, do Petrycza. Romanowski Teodozy, do Złoczowa.

Kurs telegrafowany z Wiednia 15 b. m. o g. 2. po połud.

Amsterdam	$104\frac{1}{2}$	Medyolan za 300 lirów .	$123\frac{3}{4}$
Augsburg za 100 złr. .	$126\frac{3}{8}$	Paryż za 300 franków .	$146\frac{1}{2}$
Bukareszt	—	Agio duk. ces.	—
Frankfurt za 120 złr. podług $24\frac{1}{2}$ stopy	$125\frac{1}{2}$	Srebra agio	—
		Pożyczka 5% $83\frac{3}{8}$ $4\frac{1}{2}$	$72\frac{1}{2}$
Genua.	—	Pożyczka lit. B.	—
Hamburg za 100 tal. banco	$92\frac{3}{4}$	Akcye banku	—
Konstantynopol	—	Kolej północna	
Liwurno	—	Obl. ind.	$78\frac{1}{2}$
Londyn za 1 funt szterl.,	12 10	Nowa pożyczka z loteryą	$98\frac{7}{16}$
Marsylia	—	Pożyczka narodowa . .	—

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówką towarem.

Dukat holenderski	złr.	5	kr.	51	złr.	5	kr.	54
Dukat cesarski	„	5	„	56	„	6	„	—
Półimperyał zł. rosyjski	„	10	„	8	„	10	„	10
Rubel srebrny rosyjski	„	1	„	58	„	1	„	59
Talar pruski	„	1	„	52	„	1	„	54
Polski kurant i pięciozłotówka . . .	„	1	„	26	„	1	„	26
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. bez kuponu	„	87	„	—	„	87	„	30

Obligacye. indemnizacyjne 74. 40 do 75 złr. — kr.

Lwów 15. Grudnia. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 30 złr. — kr. do 34 złr. — kr. — Żyta po 27 złr. 30 kr. do 27 złr. 50 kr. Jęczmienia po 22 złr. — kr. do 23 złr. 15 kr. Owsa po 20 złr. — kr. do 20 złr. 30 kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 20 złr. — kr. do 22 złr. 30 kr. — Ziemniaków po 10 złr. — do 12 złr. — kr. Sąg drzewa bukowego 32 złr. 30 kr. do 35 złr. Sosnowego po — złr. — kr. do 27 złr. 30 kr. w.w. Cetnar siana 2 złr. 45 kr. do 3 złr. 25. kr. Centnar słomy 1 złr. 40 kr. do 2 złr. 7 kr. w.w. Garniec 30 stopniowej okowity 5 Złr. 10 kr. w.w.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**

Doniesienia.

* Wkronice Nro 281 Gazety Lwowskiej z dnia 9. grudnia b. r. umieszczone jest doniesienie, iż krajowe towarzystwo muzyczne zamyśla dawać w bieżącym miesiącu wieczory muzykalne z deklamacyą ku poparciu nowo nowo-zaprowadzonych instytutów opatrywania ubóstwa w strawę a żebrakom stręczenia uczciwego zarobku, i tym celem wzywa pośrednictwa wszystkich dam i panów, których by życzeniem było wystąpić bądź z muzyką solo bądź z deklamacyą polską albo niemiecką, by raczyli zgłosić się i wymienić przedmiot wyboru swego dyrekcyi krajowego towarzystwa muzyki. Gdyby możliwem było w tak krótkim czasie stósowne urządzić koncerta gal. towarzystwo muzyczne, nieomieszkałoby wszelkiemi siłami do tak chwalebnego przyczynić się celu. Gdy jednak to nastąpić nie może, dyrekcya gal. towarzystwa do kształcenta muzyki czuje się być obowiązaną podać do publicznej wiadomości, że zapowiedziane w Nrze 281 Gazety Lwowskiej wieczory muzykalne dawać niepostanowiła, przeto i powyższe doniesienie od dyrekcyi towarzystwa nie wyszło.

Od dyrekcyi galicyjskiego towarzystwa do kształcenia muzyki.
